

JADWIGA MIGOWA.

PANTERKA.

(Powieść współczesna).

2)

— Być może, ale nie warto odgrzebywać tego pokrewieństwa. Mogłoby myśleć, że mi chodzi o awans, o protekcję.

— No, a gdyby? czyż ci się to nie należy? skoficzone osły zajmują wyższe od ciebie stanowiska, a ty z takim wykształceniem, taki pracowity sumienny masz pozostawać w tyle?

— Mamusiul dajmy temu spokój.

— Ale jeżeli ty nie będziesz miał dużo pieniędzy to „Panterka” nigdy za ciebie zamaż nie wyjdzie — wróciła Terenia Woźniewiczówna czternastoletni podłotek w przeciwieństwie do brata niesłychanie wścibska, ruchliwa i pełna temperamentu.

Julian sponsował. Zastyszał on już nieraz że Stefę nazywają w biurze panterką i nazwę tę uważał za coś bardzo ukochanej dziewczynie ubliżającego. Jednocześnie zaś uderzyła frańskość uwagi siostry. Czyż można sobie wyobrazić, aby Stęfa posłubiła kogoś, kto nie będzie miał pieniędzy. Ona, która tak lubi wygodę, komfort.

— Co ty wygadujesz? — krzyknęła Woźniewiczowa — jaka panterka? z kim się Julek ma żenić?

— To tak u nich w biurze nazywają. Jedną pannę, w której się Julek kocha...

— Tereniu!... — próbował przerwać rozczewieniony do niemożliwości Julian, ale Terenia nie pozwoliła sobie przeszkodzić i trzepała dalej:

— Widziałam ją wczoraj, jak szła z panem Króleckim z tym takim ładnym, co to wszystkie panny za nim przepadają. A jakichś dwu panów szło za nimi i mówili: — o widzisz, idzie panterka, piękny Romek bawi się w pogromcę drapieżnego zwierzątka...

— Milcz!... — Julian zerwał się od stołu spoglądając na siostrę tak groźnie, jak się mu to nigdy w życiu nie zdarzyło — jesteś niemądra smarkula i sama nie wiesz co gadasz! zabraniam ci powtarzać takie nonsensy. Rozumiesz?

— Ależ, Julku, co ci się stało?...

Julian nie dokofczywszy obiadu, wstał i wyszedł do sąsiedniego pokoju.

— Julku, jakto, nie będziesz już jadł?

— Nie, nie jestem już głodny — odpowiedział z poza drzwi.

— Proszę mamy dlaczego on się tak na mnie rozniewał — zaczęła nieco zmieszana Terenia. — Przecież ja temu nie winna, że ją nazywają panterką!

— Kto ci mówił, że Julek się w tej pannie kocha? — zapytała matka pośpiesznie.

— Ależ to wszyscy wiedzą, tylko Julek nam nic nie mówi. Tylko mamona ona za niego nie pójdzie, ona się z niego śmieje!... Nie cierpię tej panterki!... To musi być zła dziewczyna!...

ROZDZIAŁ II

— Dlaczego panią nazywają panterką? — zapytał dyrektor Chaniewski, kiedy Stęfa Łączkówna weszła do jego gabinetu przynosząc mu jakieś akty, które przepisała Bronka.

Zaśmiała się, pokazując białe, drobne, ostre zęby.

— To pan dyrektor już o tem wie? Sama nie wiem skąd się to do mnie przylepiło. Podobno pantera to jakieś dzikie, niebezpieczne zwierzę.

— A pani jest sobie taka mała, w miniatu-rze panterka — rzekł przesuwając spojrzeniem po jej kształtach pełnych, a jedrnych, przepysznie rysujących się pod miękką materią sukni — ale czy pani wie, że to niezbyt pochlebna nazwa dla młodej, przyzwoitej panny.

Zasmiała się jeszcze głośnie.

— Ależ ja wcale nie jestem przyzwoita, nic mi na tem nie zależy. Przyzwoitość to nie moja rzecz. Przyzwoita to jest Bronia Kuźniczówna, bo brzydka i lubi w książkach siedzieć, przyzwoita Mania Chocieszanka bo zaglupia, przyzwoita musi być Kazia, bo się gwałtem chce wydać zamaż, ale ja?...

Chaniewski spoglądał na nią rozweselony i zainteresowany. Wydała mu się istotnie jakimś egzotycznym zwierzątkiem zuchwałem, drapieżnym i bezmiernie zabawnym.

— Przynajmniej pani ma odwagę szczerości... jakto, więc pani nie chciałaby wyjść zamaż?

Stęfa położyła akta na stole i przybrała pozę zgola nie urzędową, opierając się łokciem o biurko i podtrzymując palcami policzek. Luźny rękaw jej bluzki opadł i odsłonił białe okragłe przedramię. Dyrektor postąpił kilka kroków bliżej i pochylił się tak, że ciepło promieniające z młodego, zdrowego ciała dziewczyny owiało jego twarz. W stalowych chłodnych oczach zamigotały zielonkawe ogniki, kąty ust, wykrojonych wąsko i energicznie, zadrgały prawie niepostrzeżenie.

Stęfa wyczuła intuicją wytrawnej kokietki, że w tym spokojnym, chłodnym, wytwornym mężczyźnie zaczyna się coś burzyć. Zamiast odpowiedzieć na jego pytanie uśmiechnęła się znowu i spojrzenie swoich kocich źrenic załapała w oczach zwierznika.

— Więc pani nie myśli o zamaż pójsciu? — podjął znowu Chaniewski, cofając się jednakże nieco — czy pani tak bardzo ukochała swoje biuro i swoją maszynę do pisania? nie przypuszczalibyśmy tego sądząc po rezultatach.

— O nie! ja tego stukania nienawidzę, a robię to bo muszę!...

— Stuka też pani odpowiednio kiepsko — uśmiechnął się — szczerze mówiąc będę prawdopodobnie zmuszonym dać pani dymisję.

Stęfa wyprostowała się przestraszona:

— Panie dyrektorze pan tego nie zrobił... pan tego nie może zrobić!...

Złoczyła ręce błagalnie i przechyliła się poprzez biurko ku Chaniewskiemu, który, zasiadłszy w fotelu, przewraca jakieś papiery. Jeden z jej złotych loków musnął czoło dyrektora.

Chaniewski nie patrząc na nią, wskazał jej krzesło.

— Proszę, niech pani siada. Pogadamy.

Usiadła posłusznie, spoglądając na niego z łękiem pomieszaniem z zuchwałą, wyzywającą zalotnością.

— Stwierdziła pani sama, że nienawidzi stukania na maszynie. Ja zaś znowu nienawidzę niedokładnej roboty i dlatego zamierzam przeprowadzić odpowiednie zmiany. Niech się pani jednak nie obawia. Obmyśliłem dla pani coś innego, lepszego... stosowniejszego — dodał, akcentując silnie ostatnie słowo.

Stęfa zrobiła obrażoną minę.

— Panie dyrektorze, co pan sobie myśli?... ja nie jestem znowu taka, jak pan sobie wyobraża... panu się zdaje, że ze mną to tak łatwo!...

Chaniewski z trudem powstrzymał się od głośnego wybuchu śmiechu. Stęfa podobała mu się coraz więcej. Ta mieszanina głupoty i sprytu, obłudy i szczerości graniczącej z bezczelnością, wywołała miłą emocję w jego zblazowanych erotycznie nerwach starzejącego się donżuana.

Uznał, że ta dziewczyna może być tem, czem szklanka szampana po dobrym obiedzie. Szampan wprowadził nie najlepszej marki, ale czasem i taki wystarczy...

— Ależ mnie się nic nie zdaje... ja pani jeszcze przecież nic nie powiedziałem. A pani sobie co wyobrażała?

Stęfa zmieszała się i poczerwieniała. Zrozumiała, że palnęła głupstwo.

— Ja właściwie nic... ja tylko tak sobie...

— Ażeby więc uniknąć nieporozumień powiem pani odrazu, o co chodzi. Czy pani nie myślała nigdy o tem, aby wstąpić do teatru?

Stęfie rozbłysły oczy, podskoczyła na krześle.

— Ależ naturalnie, że myślałam! tylko nie wiedziałam, jak się zabrać do tego, no i matka nie pozwalała mi o tem myśleć. Ale teraz to bym się jej nie pytała wcale o pozwolenie!...

— Widzi pani, ja mam znajomości w dyrekcjach teatru, mógłbym więc pani dopomóc. Czy pani śpiewa trochę?

— Naturalnie, proszę pana dyrektora! ja mam głos i prezentowałabym się na scenie wcale dobrze, nie tak, jak taka Mańkowska, co to tylko kości w dekoltażu pokazuje! O! ja mam warunki.

Wstała z krzesła i wyprostowała się, podając napróżd pełny biust i przeząc biodra, jakby chciała dokładnie przedstawić swoje „warunki”.

— Ano — rzekł powoli Chaniewski, strzepując popiół z cygara na malachitową popielniczkę — to pomówię z dyrektorem operetki, aby zaangażował panią do chórow.

Stęfa zamyśliła się.

— A ile tam płacą w tych chórach?

— Płacą tyle, że nie wystarczyłoby na sprawienie sobie nawet jednego kostiumu.

— E! to tak...

— Wie pani, była raz jedna aktorka, która chciała sprawić sobie fualety z gaży... no i wie pani, co się z nią stało?

— A co?

— Zwaryowała, a sądzą, że pani nie ma zamiaru zwaryować.

Stęfa kiwnęła głową z uśmiechem. Zrozumiała.

— Nie! ja taka głupia nie będę...

— Trzeba jednak spróbować, czy pani ma głos...

— Mam panu dyrektorowi coś zaśpiewać?

— O nie tutaj, nie teraz, nie jestem nsposobiony w tej chwili do słuchania śpiewu i lokalnie odpowiedni. Pani przyjdzie...

Spojrzał jej prosto, przenikliwie w oczy i ciągnął dalej:

— Pani przyjdzie dzisiaj wieczorem o godzinie 930 na ulicę... L. 15 pierwsze piętro. Zapuka pani do drzwi na lewo, gdzie przybity jest bilet wizytowy „Madame Anna, magazyn kapepeluszy”. Ja będę już tam czekał. Więc pani przyjdzie?

— Panie dyrektorze, ale jakby mnie tak ktoś zobaczył, co by sobie pomyślał?

— Że pani idzie do Magazynu po kapelusz, a zatem?

— Będę panie dyrektorze.

— Tylko proszę punktualnie, bo ja niepunktualności nie znoszę. Od tego zależy pani engagement.

W korytarzu czekał na Stęgę Julian Woźniewicz blado-siny.

— Czego ten dyrektor chciał od pani? nie dyktował nic, bo nie było słyhać stukania maszyny.

— A to ślicznie, żeby pan podsłuchiwał pod drzwiami! co pana to właściwie obchodzi, czego mnie pan szpieguje. Jakiem prawem?

— Prawem mi ości!...

— Tere fere!... Lezie mi pan w oczy z tą miłością, jak dziać z torbą!... Co mi tam z pańskiej miłości!...

Pogardliwym spojrzeniem zmierzyła jego wątłą postać, na której czystości, bez jednej plamki, starannie odprasowane ubranie wisiało jak na kołku. Odczuł tę nieprzychylną lustrację i spuścił oczy, głęboko zawstydzony swoltem cherliactwem fizycznym. Istotnie, cóż on mógł przedstawiać wartościowego dla tej pięknej, przepysznie zbudowanej, tryskającej temperamentem i siłą dziewczyny. Rozkiełznania i anormalnego przerosu nie widział, uderzało go i ośniewało tylko bogactwo tych darów, jakimi natura uposażyła Stęgę.

— Panno Stęgo — bąknął — ja wiem, że ja dla pani nic nie znaczę, że ja pani nie godzien... ale ja panią kocham i chciałbym uchronić przed niebezpieczeństwem... ten dyrektor... pani tego nie wie... nie rozumie... pani taka jeszcze młoda, niedoświadczona... czysta... pani przypuszczać nawet nie może.

Stęga patrzyła się w niego tak wyraziście, że można było z łatwością z jej oczu wyczytać pytanie: „Czy on sobie drwi ze mnie, czy on doprawdy taki głupi?” ale Woźniewicz nie posiadał z gołą umiejętności czytania w oczach kobiecych. Jemu się zdawało, że Stęga jest niesłychanie przestraszona, zdumiona... Ciągnął więc dalej, podniecając się własnem uczuciem.

— Ja niczego od pani nie chcę, niczego nie wymagam. Tylko niech pani mi pozwoli bronić cię przed złymi ludźmi!...

Dziewczyna parsknęła krótkim, przyciszonym, drwiącym chichotem.

— Dlaczego się pani śmieje? Czy pani nie pojmuje, że...

Nie dokofczył, bo w tej chwili otworzyły się drzwi jednego z biur, znajdujących się w korytarzu i ukazał się Roman Królecki, smukły, radosowy, zwycięsko piękny. Ujął Woźniewicza pod ramię i, nie zaszczyciwszy Stęgi ani jednym spojrzeniem, nie przywitawszy jej ukłonem, rzekł:

— Chodźno Julek do mnie. Mam z tobą do pomówienia. Szkoda twojego drogiego czasu.

Pociągnął opierającego się nieco kolegę za sobą. Stęga została sama. Nie czuła się wcale obrażoną lekceważeniem, jakie jej Królecki okazał, przeciwnie, zaimponowało jej to.

— To mężczyzna — pomyślała z zachwytem — to dopiero jest prawdziwy mężczyzna!

Ciąg dalszy nastąpi!